

Tkane były z przędzy nieznanej mi, ale niektóre z nich posiadały miękkość wełny i połysk jedwabiu. Kiedy rozłożyłem je, pewna ilość rozpadła się w strzępy drobne, drugie zaś zamieniły się w proch, jak niektóre materye zachowane ze szczątków Herkulanum i Pompei, które rozsypują się za dotknięciem palców.

Inne zaś były doskonale zakonserwowane, między innymi specjalna tkanina z piór różnokolorowych, jaka posłużyła mi do odświeżenia mojego ubioru, który był w bardzo opłakanym stanie. Sądziłem, że znalazłem magazyn ubiorów lub muzeum kostyumów, ale wkrótce poznałem swoją pomyłkę. Wszystkie sztuki materyi, które leżały przedemną, były formy kwadratowej lub trójbocznej i miały na sobie hafty i aplikacje, wyobrażające przeróżne sceny. Była to biblioteka, albo też może archiwum, które byłoby prawdziwym rajem bogactwa dla archeologa. Zapewne część okazała historii planety mieściła się tutaj. Przewracałem na wszystkie strony te drogocenne tkaniny o przeważnie ciemnych, głębokich tłach i jaskrawym wybitnym deseniu. Przeważał w nich kolor zielony, jasno purpurowy i żółty. Znaki i odbicia na nich podobne do hieroglifów starożytnych egipskich i starej chińskiej pisowni, były idiograficzne, to jest przedstawiały w obrazach skróconych przedmioty, które miały wyobrażać.

Musiałbym zużyć wiele lat intensywnej pracy, aby odczytać te cudaczne znaki i powiedziałem sobie, że szaleństwem by było przystępować do niej obecnie.

Jednakże znajdowały się w tych tkanych kartach, które jedną po drugiej wyciągałem z kufrów, sceny dosyć wyraziste, które pojmowałem dostatecznie. Dały mi one wiele do myślenia. Ujrzałem na nich scenę przedstawiającą w grubych zarysach, lecz bardzo wyraźnych, Erloora rzucającego się na jednego z Marsjanów; lecz inny obraz wyobrażał znowu Erloora pokonanego i pożeranego przez potwora, którego nigdy jeszcze nie widziałem na Marsie, a który składał się tylko z olbrzymiej głowy i dwóch skrzydeł; na innym obrazie ujrzałem, że ten potwór znowu był pochwycony przez jakąś masę niekształtną o rozmiarach przewyższających o wiele tamte dwie postacie.

Więc tu, tak jak na ziemi, istoty utrzymywały swoje życie za cenę życia drugich istot.

Czas upływał, nie pozostawiając po sobie zmian żadnych, nie wprowadzając nic nowego w moje położenie.

Przeszedłszy całą galerię podmorską dosięgłem innej kryształowej wieży, lecz była ona tak podobna do pierwszej, że zaniechałem już obejrzenia trzeciej. A wszędzie panowała ta sama śmiertelna cisza, zakłócona tylko niekiedy trzepotaniem skrzydeł i echem denerwującego śmiechu, działającego tak niekorzystnie na mnie.

Nadzieje moje ujrzenia Ziemi, lub choćby wiadomości moich przyjaciół o obecnym mem położeniu, zamierały stopniowo. Byłem dręczony uporczywą myślą, że przyjdzie mi umrzeć tutaj, zdala od drogiej mi towarzyszy bez możliwości skomunikowania się z nimi i podzielenia rezultatami mojej nadzwyczajnej wyprawy.

W tym czasie zdarzył się fakt, który wpłynął poważnie na dalsze moje przeznaczenie.

W moich podziemnych poszukiwaniach napotkałem na szereg krypt, które sądziłem iż są ostatnie. Nie były one zakryte szklanymi zastawami, a światło ze sklepienia nie oświeślało ich; były one wyciosane w samej skale, granicie delikatnoziarnistym, o purpurowym zabarwieniu. Dostęp do nich był utrudniony przez zamknięcie drzwi metalowych, które z trudem zdołałem otworzyć przy pomocy sztab i narzędzi znalezionych w arsenale.

Okoliczność ta podnieciła moją ciekawość, ale nie mogłem marzyć o eksploataowaniu tych krypt w ciemnościach, które panowały wokoło. Musiałem przedtem sfabrykować sobie jakąś świecę lub pochodnię.

Załatwiłem się z tem szybko i łatwo, używszy do tej roboty wosku zasklepiającego beczki, który zmieściłem silnie rozcierając w palcach, poczem oblepiłem go naokoło kłosa skręconego ze strzępa materyi. Pozostawało mi tylko zaświecić tę improvizowaną świecę, ale nie wiedziałem jak się wziąć do tego. Próbowałem początkowo wzniecić ogień na sposób dzikich ludzi, pocierając energicznie o siebie dwie deszczułki wyjęte z pak, ale nie wiedziałem, że chcąc doprowadzić do pożądanego rezultatu należy wybrać jedną deszczułkę z twardego drzewa, a drugą z miękkiego, a może brakowało mi cierpliwości i dostatecznej przytomności umysłu.

W każdym razie przeszkoda jakaś być musiała, bo doprowadziłem tylko do tego, że się spociłem nad tą robotą jak mysz. Porzuciłem więc deszczki i zabrałem się do innego sposobu. Uderzeniem sie-

kierki odłupałem ze ściany kawałek przezroczystego szkła i wygładzając go i pocierając mocno doprowadziłem do tego, że przybrało formę soczewki.

Umieściłem się następnie w jednym zagłębieniu, wystawionem najwięcej na operację słoneczną, zapaliłem moją pochodnię i dumny z tego rezultatu zeszedłem pośpiesznie do podziemnych suteryn, których przejścia były mi już znajome.

W przeciagu piętnastu minut znalazłem się w krypcie z czerwonego granitu, niecierpliwie oglądania cudów, które spodziewałem się tam zastać. Zdumienie było olbrzymie, gdy ujrzałem w tych katakumbach zbiór kul olbrzymich, czerwono-brunatnych, stojących jedna na drugiej wysokim rzędem jak nasyp kul armatnich. Obejrzałem je z bliska; były nakrapiane zielonemi plamami i chropowate na powierzchni.

W tej chwili uwaga słuchaczów Roberta Darvela była tak podniecona, że wprost oczami zawiśli na jego ustach. W ciszy, która zaległa pracownię, słychać tylko było zgrzyt pióra stenografującego lorda Frymcoocka.

Uderzeniem siekierki rozbiłem jedną z tych kul; wewnątrz jej było białe, poprzerzynane czerwonymi szklanymi rurami. Z jednej z nich — rozbitej, sączył się płyn gęsty, silnie aromatyczny. Jednym słowem, kule te całkiem były podobną do tej, z której wydobyliście mnie.

— Ale — przerwał Ralf Pitcher, niezdolny już do opanowania dłuższej swojej ciekawości — cóż znalazłeś jeszcze we wnętrzu tej kuli.

— Odgadnijcie!... Ujrzałem tam zwiniętego w kłębek Erloora, na podobieństwo mumii. Był tak zesztyniały i zasuszony, że wziąłem go za trupa.

— Tak, jak my ciebie w pierwszej chwili.

— Tak. I nie dziwię się wam. Byłem u szczytu zdziwienia i zdumienia. Przecież widziałem na własne oczy w podziemnem schronisku tych potworów, trupiarnię ich, podobną do wielkiego cmentarzyska.

Wytlumaczyłem sobie to ciekawe zjawisko w ten sposób, że ludy starożytne zamieszkujące w dawnych czasach te krypty, zabalsamowały Erloorów, jak niegdyś Egipcjanie balsamowali ibisy, koty i krokodyla.

Poszedłem dalej korytarzami tych oryginalnych katakumb zastanawiając się do czego służyć mogły rury napełnione tym wonnym płynem. Przypuszczam, że to jest preparat antyseptyczny przeznaczony do konserwowania zwłok. Jak mogliście się sami przekonać naocznie, myliłem się z gruntu.

Płyn tych tub zawiera także azoty, węglany i inne substancje potrzebne do życia, i gdybym miał w rękę sposób ich preparowania, możnaby życie nasze przedłużyć w nieskończoność.

Płyn, wsiąknięty w skórę, dostarcza organizmowi odżywczych soków, podczas nawet snu kataleptycznego i gdy czynność serca ograniczona jest i słaba.

Pigułki spożywane przez fakirow przed zakopaniem ich żywcem w ziemię muszą posiadać szczególną tę własność. Ale pozostawmy już ten temat, jest to punkt, który kiedyś jeszcze rozświetlić pragnę.

Wchłonięcie ożywczych substancji przez skórę posiada tę wyższość, że nie wyczerpuje funkcji żołądka, co byłoby rzeczą niemożliwą w stanie katalepsy człowieka, a utrzymuje organizm w stanie energii i sił żywotnych.

Erloor, którego wydobyłem z kuli, był zapewne żywym jeszcze, ale nie mogłem pojąć, w jakim celu zabalsamowano go. Może z niego i wielu innych, czyniono zapas świeżej żywności, łatwej do konserwowania w razie obłąkania lub głodu. Albo też zachowywano ich jako świadków lat ubiegłych? Nigdy tej kwestyi wyjaśnić nie byłem w stanie.

Zatopiony w tych rozmyśleniach doszedłem do innego szeregu krypt, mniejszych od poprzednich, gdzie kule fosforyczne znajdowały się jeszcze w większej ilości. Ale tutaj były one koloru zielonego.

Rozstrzaskałem pierwszą z brzegu; czerwone tuby jak kolce kasztana mieściły się w jej wnętrzu. ale pozbawione nic w kuli nie znalazłem. Zniszczyłem drugą i trzecią, zawsze z tym samym skutkiem, kule były puste. W tej chwili, prawie nad moimi uszami rozległ się donośny gardłowy śmiech. Odwróciłem się szybko, przygotowany na wszystko, ale już ciższa zaległa wokoło, a ja byłem sam w krypcie żyjących stworzeń.

#### Kask opalowy.

W tem miejscu Robert Darvel przerwał opowiadanie. Na twarzy jego odbiło się wahanie i walka sprzecznych uczuć. Zobowiązałem się solennie przed przyjaciółmi nie tać żadnego szczegółu ciekawego opowiadania, a jednak były tam rzeczy tak przykre i wzruszające, że wolałbym o nich wcale nie wspominać.

— Jesteś zmęczony? — zapytała łagodnie miss

Alberta, pochylając się nad nim. Może pragniesz odpocząć chwilę?

— O! nigdy w życiu! — zaprzeczył Ralf Pitcher, zrywając się pospiesznie z krzesła. — Mam nadzieję, że Robert nie przerwie opowiadania w miejscu, tak interesującym! Tobo było okrutnem z jego strony!

— Ależ panie Ralfie — próbowała zreflektować miss Allice niecierpliwego uczonego.

— Nie jestem wcale zmęczony — pospieszył z zapewnieniem Robert Darvel, uśmiechając się do przyjaciela życzliwie — i nie chcę ciekawości rozniecać na próżno, ale wiercie mi to, co mam wam jeszcze do powiedzenia, przechodzi poprostu w nieprawdopodobność, nie poddaje się żadnym logicznym rozumowaniom ludzkim, tak, że sam jestem jeszcze pod wrażeniem dziwnego oszołomienia zmysłów, gdy o tem wspominam.

— Mów! mów! Robercie! — błagał Ralf Pitcher, wpatrując się w przyjaciela spojrzeniem pełnem uwielbienia i uznania.

— Wszyscy ci, którzy kiedykolwiek pisali o planecie Marsa — podjął Robert Darvel — opierali się na pewnych danych, zbliżonych do faktów i objaśnię ziemskich, ubarwiając je dowolną grą imaginacji podniecone, lub niekiedy złośliwą ironią. To, co ja opowiadam, to co widziałem, jest poza obrębem najchimeryczniejszych przypuszczeń.

Jest to wielki i monstrualny sen, jak marzenie Aeopatypsy widziane przez pryzmat wspaniałej fantazyi Eogarda Poëgo.

— Mów, mów, Robercie! słuchamy cię — szepnęła silnie wzruszona miss Alberta.

Z oczami przymkniętymi, jakgdyby biegnąc myślami za mirażem krwawej planety, Robert Darvel mówić rozpoczął po chwilowem skupieniu się.

— Mówiłem wam już, jakie uczucie nieludzkiego przerażenia śmiech ten okropny wywierał na mnie; dźwięki te straszne brzmiały jeszcze w moim mózgu.

Nie wierzyłem dotąd w rzeczy nadnaturalne.

To, co nazywamy tem mianem, jest zrodzone z naszej nieświadomości i słabości. Istnieją tylko rzeczy o których nic nie wiemy, lub których nie pojmujemy wcale.

Otrząsnąłem się cokolwiek z niewytłumaczonego lęku, wywołanego tym śmiechem szatańskim nieznanego mi jakiegoś potwora i poszedłem dalej, upewniwszy się, że pozostają mi jeszcze trzy pochodnie sfabrykowane poprzednio. Na końcu galerii z kulami zielonemi, zostałem wstrzymany przez furtę masywną, której pręty były wielkości kolumn, a były tak zbliżone do siebie, że nie mogłem się przez nie w żaden sposób przecisnąć i dostać na drugą stronę. Metal, silnie oksydowany był koloru ciemnobrunatnego, ale zdrapawszy pierwszą powłokę ostrzem siekierki, przekonałem się, że w pierwotnym stanie posiadał żywe, szmaragdowe zabarwienie.

Uderzyłem w tę bramę kilkakrotnie siekierą, nie w nadziei rozstrzaskania jej, bo to wydawało mi się nieprawdopodobnem, ale poprostu machinalnym jakimś odruchem i zobaczyłem ze zdumieniem, że z trzaskiem ustąpiła pod naciskiem i rozwarła się zupełnie, tak, jakgdyby była zbudowana nie z silnego metalu, lecz ze spróchniałego drzewa.

Przypomniałem sobie, że każdy metal trzymany długo w ogniu nabiera hartu i trwałości, lecz nie oprze się czasowi i silnym miarowym uderzeniom.

Atomy metaliczne, na chwilę spojone siłą kucia, niedługo powracają do pierwotnego stanu krystalicznego i kruchości ich wtedy jest nadzwyczajna.

Dla tej przyczyny zmieniają tak często osie u lokomotyw, które inaczej popękałyby z własnej przyczyny. Wiadomem jest również, że na metale najsilniejsze czas działa najsilniej.

Pręty, które zniszczyłem i których szczątki oglądałem, teraz stanowią tylko skorupę spaloną i zżartą wilgocią wieków.

Zachowały one tylko pozór rzeczy zniszczonych.

Przebyłem zaporę i znalazłem się naprzeciw szerokiej studni, z kąd wznosiły się duszące zapachy i gazy.

Podniosłem w górę pochodnię i ujrzałem na ścianach w równych odstępach umieszczone ogniwa, zapewne dla ułatwienia zejścia.

Nie namyślałem się ani chwili. Za pomocą kawałka materyi, którą uniosłem z sobą z galerii na wszelki wypadek, umocowałem pochodnię przy czole i upewniwszy się o sile i wytrzymałości ogniwa żelaznych, zacząłem schodzić ostrożnie. Kilkakrotnie miałem ochotę powrócić wstecz; wstrętny odór stęchliny i wilgoci, wydobywający się z otworu, utrudniał oddech i przyprawiał o zawrót głowy.

Ale postanowiłem sobie wytrwać koniecznie.

Już około piętnastu minut schodziłem w tych cuchnących ciemnościach i miałem wrażenie, że nie ubywa mi wcale drogi, że poruszam się ciągle w jednym miejscu.